

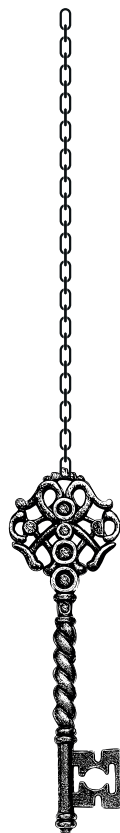
JENNIFER  
LYNN BARNES

GAMES  
UNTOLD

Tłumaczył MACIEJ POTULNY

**must read**

# THAT NIGHT IN PRAGUE



*W tym mieście nic nie było bezkresne –  
oprócz Jamesona i mnie.*



## NASTĘPNEGO DNIA

**N**ie martwiłam się o niego. Strach o Jamesona Winchestera Hawthorne'a wart był tyle, ile warte są próby kłócenia się z wiatrem. Miałam dosyć oleju w głowie, by wiedzieć, że nie ma sensu krzyczeć na huragany ani bać się o zdrowie i życie Hawthorne'a, bo jego największą pasją jest podejmowanie zaledwie szczątkowo skalkulowanego ryzyka, balansowanie na skraju przepaści, których głębokość przyprawia o zawrót głowy, oraz samobójcze misje, o których powodzenie można się jedynie modlić.

Jameson miał w zwyczaju spadać na cztery łapy.

– Avery? – Oren zaznaczył swoją obecność jedynie z grzeczności, bo jako szef mojej ochrony zawsze trzymał się blisko. – Nadchodzi świt. Mogę kazać moim ludziom jeszcze raz przeszukać...

– Nie – powstrzymałam go.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Jameson nie chciałby, żebym go szukała. To nie była zabawa w chowanego. To nie była ciuciubabka.

Wszystkie instynkty podpowiadały mi, że chodzi o... o coś.

– To już czternaście godzin. – Głos Orena emanował żołnierskim spokojem, który cechują energia, rzeczowość i gotowość na najgorsze. – Zniknął bez uprzedzenia. Bez śladu.

Nagle. Musimy się liczyć z możliwością, że maczał w tym palce ktoś o złych intencjach.

Liczenie się ze złymi intencjami różnych ludzi należało do rutynowych zadań Orena. Byłam spadkobierczynią fortuny Hawthorne'ów. Jameson był Hawthorne'em. Przyciągaliśmy uwagę świata – a czasami też groźby. Ale w głębi duszy powtarzałam sobie od chwili, gdy Jameson zniknął, wciąż to samo: „Mogłam się tego spodziewać”.

Przez wiele dni w Jamesonie narastało elektryzujące napięcie – nieujarzmiona energia, potężny pęd ku czemuś. „Ku tajemnicy”. Wspomnienia przemknęły mi przez głowę, kolejne chwile od dnia, w którym postawiłam nogę na lotnisku w Pradze.

Iglica.

Nóż.

Zegar.

Klucz.

„Co kombinujesz, Hawthorne? Masz jakiś sekret. Jaki?”.

– Daj mu godzinę – zwróciłam się do Orena. – Jeśli w tym czasie Jameson nie wróci, możesz wysłać swoich ludzi.

Kiedy się upewniłam, że mój ochroniarz – czasami zastępujący mi ojca – nie zamierza obstawać przy swoim, poszłam do przedpokoju naszego luksusowego apartamentu hotelowego. Apartamentu Królewskiego. Usiadłam na krześle obitym połyskliwym aksamitem w czerwonym i czarnym kolorze i zapatrzyłam się na ścianę, która nie była jedynie zwykłą ścianą, po raz setny próbując rozpracować tę zagadkę.

Miałam przed oczami zapierający dech w piersi, złocisty mural.

„Gdzie jesteś, Jameson? Czego nie dostrzegłam?”.

Wyłuskałam wzrokiem dobrze zamaskowane linie na ścianie. Ukryte drzwi. Przypominały mi, że kiedyś właścicielem tego hotelu był niezwykły już dziadek Jamesona, Tobias

Hawthorne, i że Apartament Królewski zbudowano według ścisłych wskazówek tego miliardera mającego obsesję na punkcie łamigłówek.

„Ciągłe nowe pułapki” – pomyślałam. „Ciągłe nowe zagadki”. To były jedne z pierwszych słów, które powiedział do mnie Jameson. W tamtym okresie zmagał się z żalobą i wciąż gonił za kolejnymi zagadkami, za kolejnymi zastrzykami adrenaliny, zdeterminowany nie przejmować się nikim ani niczym.

W tym czasie podejmował ryzyko w pewnym stopniu po to, żeby poczuć ból.

Zapatrzona na ścianę i ukryte drzwi powtarzałam sobie, że Jameson z początków naszej znajomości to nie ten sam Jameson Hawthorne, który wczoraj odgarnął włosy z mojej twarzy i ułożył je na materacu dokoła mojej głowy niczym aureolę.

Mój Jameson nadal ryzykował, ale zawsze wracał.

„Wiem, że nie powinnam bać się o Jamesona Hawthorne’a. A jednak...”

Starłam się sprawić siłą woli, żeby ukryte drzwi się otworzyły. Chciałam, żeby stał za nimi Jameson.

I w końcu – nareszcie – tuż przed upływem wyznaczonej przeze mnie godziny tak się stało. Przyszedł. „Jameson Winchester Hawthorne”.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłam uwagę, kiedy wszedł w krąg światła, była krew.



# ROZDZIAŁ I

## TRZY DNI WCZEŚNIEJ

**P**ocztówka, którą trzymałam w dłoni, przedstawiała ten sam widok, który rozciągał się za oknem samolotu. Praga o świcie. Sylwetki reprezentujące wiele wieków historii odcinały się na tle zamglonego, złotego nieba, a ciemne, skłębione chmury nad miastem miały kolor fioletowoszary.

Pocztówkę dostałam od Jamesona, który wysłał mi ją w nawiązaniu do tego, że niegdyś jego wuj słał podobne kartki do mojej matki. Pod wpływem tej analogii zaczęłam się zastanawiać, co powiedziałyby moja mama, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć – w prywatnym samolocie, z grubym na kilkanaście centymetrów stosem dokumentów, które przeglądałam w trakcie lotu, wciąż przyłapującą się na tym, że wstrzymuję oddech, kiedy nierealność takich chwil uderza we mnie z siłą fali przyływu.

Praga o świcie. Jakże często rozmawiałyśmy z mamą o dalekich podróżach. Po jej śmierci to była jedyna rzecz, o której nadal marzyłam, ale w wieku piętnastu, szesnastu i siedemnastu lat ulegałam temu najwyżej na kilka minut. Nigdy nie pozwalałam sobie pragnąć podróży – ani czegokolwiek innego – za bardzo.

A teraz? Poglądziłam kciukiem brzeg pocztówki. Teraz chciałam całego świata. Chciałam wszystkiego. I nic nie stało mi na przeszkodzie.

– W końcu do tego przywykniesz – powiedziała moja towarzyszka siedząca naprzeciw mnie w prywatnym samolocie, po czym położyła na stole między nami trzy czasopisma. Na okładce każdego z nich widniała moja twarz.

– Nie – odparłam lakonicznie. – Nie przywyknę.

Nie udało mi się przeczytać ani jednego słowa na okładkach. W dwóch przypadkach nie byłam nawet pewna języka.

– Okrzyknęli cię świętą Avery. – Alisa zerknęła na mnie, unosząc brwi. – Zgadnij, jak nazywają Jamesona.

Alisa Ortega była prawniczką – moją i fundacji – ale jej wiedza ekspercka wykraczała daleko poza porady prawne. Jeśli jakaś sytuacja wymagała sprawnego załatwienia, ona ją skutecznie załatwiała. Na tym etapie nasze role były już wyraźnie zdefiniowane. Ja byłam nastoletnią miliarderką i filantropką, spadkobierczynią fortuny. Ona gasiła pożary.

A Jameson Hawthorne płonął żywym ogniem.

– Zgadnij, jak go nazywają – powtórzyła Alisa, kiedy koła samolotu dotknęły asfaltu lądowiska.

Wiedziałam dokładnie, dokąd zmierza ta rozmowa, ale mnie daleko było do świętej, Jameson zaś bynajmniej nie stanowił dla mnie ryzyka. Byliśmy dwiema stronami jednej monety.

– Nazywają go Nigdy Nie Przystawaj? – zapytałam Alisę z poważną miną. Idealnie wyregulowane brwi prawniczki się ściągnęły. – O, przepraszam – dodałam, nie zmieniając tonu głosu. – Zapomniałam. To ja go tak nazywam.

Alisa prychnęła.

– Nie, nikt tak o nim nie mówi.

Kąciki moich ust drgnęły w niemal takim samym uśmiechu, jaki zwykle rozciągał usta Hawthorne'a, więc czym prędzej znowu zwróciłam twarz do okna. W oddali nadal widziałam strome szczyty dachów rozmywające się na tle nieba w odcieniach złota, fioletu i szarości.

Alisa była w błędzie. Nie sądziłam, bym kiedykolwiek zdołała się do tego przyzwyczaić. To było dla mnie wszystkim – tak samo jak Jameson Hawthorne.

– Żadna ze mnie święta Avery – powiedziałam do Alisy.  
– Przecież wiesz.

Zatrzymałam sobie tak dużą część spadku, że nie byłabym zdolna wydać nawet ułamka tej kwoty, a mimo to większość ludzi dostrzegała jedynie, jak wiele rozdałam. W powszechnie panującej opinii albo byłam wzorem cnót, albo dorównywałam inteligencją workowi kamieni.

– Może i nie jesteś święta – zgodziła się Alisa. – Ale za to dyskretna.

– A Jameson... nie – dokończyłam jej myśl.

Jeżeli Alisa zwróciła uwagę na to, że moje usta wygięły się w łuk, wypowiadając jego imię, zdecydowała się to zignorować.

– Jest Hawthorne'em. W ich słowniku nie istnieje słowo „dyskrecja”. – Alisę także łączyły z rodziną Hawthorne'ów pewne relacje. – Działalność fundacji nabiera tempa. Nie potrzebujemy teraz skandalu. Przy najbliższej okazji powiedz Jamesonowi, żeby tym razem obyło się bez szczeniąt. Bez włamań. Bez dachów. Bez niepotrzebnego narażania się na niebezpieczeństwo. Nie pozwól mu pić żadnych dziwnie świecących płynów. Dzwon do mnie niezwłocznie, jeśli wspomni choć słowem o skórzanych spodniach. I pamiętaj...

– Że już nie jestem Kopciuszkim – dokończyłam. – Teraz piszę własną bajkę.

Kiedy miałam siedemnaście lat, moje życie zmieniło się na zawsze. Byłam szczęściarą, bo chociaż do tej pory miałam pod górkę, ni stąd, ni zowąd kaprys ekscentrycznego miliardera rozjaśnił panujący w moim życiu mrok i przywrócił mnie światu. Jednak teraz to ja zajęłam miejsce ekscentrycznego miliardera.

Płynełam na fali sukcesu. A cały świat się przyglądał.

„Święta Avery”. Pokręciłam głową, powtarzając w myślach te słowa. Ktoś, kto wymyślił mi taki pseudonim, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jeśli chodzi o wyzwania, gry i dreszczyk emocji, podstawowa różnica między mną a Jamesonem polegała na tym, że ja nie dawałam się tak łatwo przyłapać.

Po kilku minutach byliśmy gotowi do opuszczenia samolotu – najpierw ochroniarze, potem Alisa i na końcu ja. Gdy tylko dotknęłam ziemi obiema stopami, dostałam SMS-a od Jamesona. Wątpiłam, by stało się tak przypadkiem.

W wypadku Jamesona przypadek był wielką rzadkością.

Przeczytałam wiadomość i znowu poczułam przypływ energii i podziwu podobny do tego, który zawładnął mną, gdy patrzyłam przez okno samolotu na odwieczne miasto rozciągające się pode mną. Na moich ustach powoli zakwitł uśmiech.

„Dwa zdania”. Tylko tyle wystarczyło Jamesonowi Hawthorne’owi, żeby moje serce zaczęło bić trochę mocniej i trochę szybciej.

„Witaj w mieście o stu wieżach, Dziedziczko. Chcesz się zabawić w chowanego?”.